
**”AN
EKS”** **28**

kwartalnik polityczny

ALEKSANDER SMOLAR

Między ugodą a powstaniem

ALEKSANDER SMOLAR-ekonomista, asystent na Wydz. Ekono-
mii Politycznej Uniwersytetu Warszawskiego do
1968r. Mieszka w Paryżu, pracuje w CNRS (francuski
odpowiednik PAN). Członek kolegium red. kwartalnika
"Aneks". Powyższy artykuł ma się równoległe ukazać
w 28 numerze tego pisma.

Aleksander Smolar

MIEDZY UGODĄ A POWSTANIEM

1. Język stanu wojny

"Wrona skona", "nie pokona orła wrona", kotwice Polski Walczącej na murach i szpaltach prasy podziemnej, powrót słów od dawna, wydawało się, związanych z przeszłością: okupacja, wojna, Żapanki, kolaboranci. A więc język skrajnie konfliktowy, ogromnie obciążony emocjonalnie, język walki.

Z drugiej strony powtarzane nieustannie w różnych wersjach słowa o konieczności kompromisu, porozumienia narodowego, ugody. Język pokoju, język koncyliacji.

Współżyją one ze sobą. Jak? Dlaczego? Jakie są tego konsekwencje?

Czym jest język walki w ustach Polaka doświadczonego stanem wojennym? Jest on - po pierwsze - spontaniczną reakcją na to, co Polskę spotkało. W pamięci zbiorowej odżywają obrazy okupacyjnego koszmaru, dramatów popowstaniowych. Ludzie spontanicznie zwracają się ku różnym momentom naszej i obcej historii w poszukiwaniu prawzorów sytuacji obecnie przeżywanej. Język konfliktu, język moralnego oburzenia i doznanej krzywdy, służy nie tylko przekazywaniu uczuć i myśli: jest on również narzędziem mobilizacji i integracji: na s przeciw i i m. Jego funkcją jest umocnienie podziadów, umożliwienie przetrwania zbiorowości zagrożonej. W perspektywie tego języka rozwiązanie konfliktowe może być tylko wynikiem konfrontacji i ostatecznego zwycięstwa jednej ze stron.

Język koncyliacyjny jest językiem rozumu, który szuka rozwiązań dla sytuacji konfliktowych wbrew uczuciom, narosłym uprzedzeniom, różnicom interesów. Język koncyliacyjny jest językiem tych, którzy nie wierząc w wygraną, chcą uniknąć klęski, która musiałaby być nieuchronnie klęską wszystkich. Język ten szuka trudnej równowagi między afirmacją zasad a uznaniem rzeczywistości i ograniczeń, które ona narzuca.

Współżycie tych języków jest konfliktowe; jeden odbiera wiarygodność drugiemu. Trudno traktować na serio język porozumienia narodowego, gdy jednocześnie w partnerze takiego porozumienia widzi się okupanta, sprzedawczyka, oszusta w najlepszym razie. Trudno jest poważnie traktować język konfliktowy, gdy wierzy się w deklaracje o potrzebie, konieczności ugody. Kompromis zakłada bowiem choćby wspólną tę interesów, która istnieć nie może w świecie manichejskim.

Również w obozie władzy język konfliktowy współżyje z koncyliacyjnym. Język konfliktowy, nie mogąc zwracać się przeciw całemu społeczeństwu, wrogów widzi w "ekstremie", "elementach antysocjalistycznych", "kontrrewolucyjnym podziemiu" - "politycznych awanturnikach". Rolą tego języka jest usprawiedliwienie spisku grudniowego, złamanie woli oporu społeczeństwa. Pozwala on zarazem na integrowanie aparatu władzy, dodaje mu odwagi i wiarę w przyszłość.

Język koncyliacyjny władzy wyraża częściowo świadomość, że bez znalezienia z narodem jakiegoś *m o d u s v i v e n d i*, jedyną alternatywą dla obecnej zimnej wojny domowej może być wojna gorąca. Chodzi równocześnie, czy też przede wszystkim, o wzbudzenie w społeczeństwie nadziei, że nie wszystkie zdobycze posierpniowe zostaną skonfiskowane i że stan wojenny jest swoistym prowizorium, z którego wyjście prowadzi przez porozumienie pogodzonego z losem społeczeństwa z władzą.

Współistnienie dwóch języków w obozie władzy jest częściowo wynikiem głębokich podziałów, przede wszystkim jednak narzędziem walki ze społeczeństwem, które, na zmianę, okłada się batem groźb i żywej marchewką nadziei.

Język Kościoła jest niewątpliwie konsekwentny. Kościół wystąpił natychmiast w obronie krzywdzonych, przeciw bezprawiu. Równocześnie, w wypowiedziach jego najwybitniejszych przedstawicieli, dominuje troska o to, aby społeczeństwo nie zostało ostatecznie podzielone na -słowa Prymasa- "... władzę, która rozkazuje i zmusza, i na poddanych, którzy milczą i nie nawidzą". Kościół zdecydowanie, od pierwszej chwili opowiada się za ugodą społeczną i konsekwentnie unika języka konfliktowego. Tym, myślę, można tłumaczyć ostrzejsze czasem słowa kierowane pod adresem manifestujących przeciw bezprawiu ludzi niż wobec tych, którzy tych praw ich pozbawili. Troskę Prymasa - która wydawać się może przesadna - o to, by nie znie-

sławiać i nie osmieszać władzy, tłumaczyć można obawę przed tworzeniem, już w warstwie języka i myśli, przepaści tak głębokiej, że jej zasypianie stanie się niemożliwe. Wielkiej odwagi, głębokiego poczucia odpowiedzialności wymaga takie pójście pod prąd powszechnych nastrojów i ocen.

Zwracaliśmy powyżej uwagę na problem koherencji języków, którymi posługują się strony zaangażowane w konflikcie. Co najmniej równie istotne jest pytanie o ich realizm. Nie ma cechy realizmu język, który formułuje projekty, tworzy oczekiwanie niemożliwe do spełnienia. Nie jest też realistycznym język nadmiernie odbiegający od oczekiwań, myśli, uczuć ludzi, do których jest adresowany, albowiem nie może wpływać na ich zachowanie.

Czy mówienie o wojnie, okupacji, odwoływanie się do tradycji powstańczej i AK-owskiej nie grozi przerodzeniem się setek, tysięcy ludzi odważnych, działających nielegalnie, w sektę niezłomnych, nieprzejednanych w swoich stosunkach z władzą i rzeczywistością? Czy język taki stwarza perspektywę na przyszłość zważywszy, że obalenie władzy komunistycznej trudno traktować jako cel bezpośrednich działań społecznych?

Pytań powyższych nie podejmujemy w dalszej części artykułu. Po prostu wydaje się, że za wcześnie na takie niepokoje. Warto tu jednak zająć się pytaniem, na ile realistyczny jest język koncyliacyjny. Innymi słowy, jakie są szanse na porozumienie społeczeństwa z klasą rządzącą.

2. Porozumienie narodowe: aktualność czy anachronizm ?

Lektura artykułów w prasie podziemnej, oświadczeń przywódców związkowych, licznych dokumentów opracowywanych w środowiskach niezależnych sprawia czasami wrażenie surrealistyczne. Podczas gdy 13 grudnia zdaje się być cezurą oddzielającą od siebie dwie epoki krańcowo odmienne, czyta się i słyszy bez przerwy o porozumieniu, ugodzie, kompromisie; tak jak przed grudniem, częściej niż przed grudniem. Odnosi się wrażenie, że to, co łączy szesnaście miesięcy Polski "Solidarności" i Polski stanu wojennego, traktuje się jako ważniejsze od tego co je dzieli. Czy mamy tu rzeczywiście do czynienia z poczuciem fundamentalnej ciągłości sytuacji i problemów uzasadniającego wybór polityczny na rzecz poszukiwania poro-

zmienia z władzą komunistyczną? Czy jest to raczej pewien anachronizm, kontynuowanie myśli i praktyki politycznej, która nie była pozbawiona pewnych szans w przeszłości, lecz nie posiada ich zupełnie w radykalnie odmiennej sytuacji stanu wojennego?

Zanim podejmiemy się oceniania, na ile aktualny jest program porozumienia narodowego powróćmy do czasów "Solidarności" legalnie działającej, by przyrzec się argumentom wysuwany wóczas na jego poparcie. Chodzi tu zarówno o argumenty formułowane wówczas, jak i dające się odczytać między liniami ówczesnych analiz. Żrekapitułujmy je w trzech punktach:

1. Interesy strategiczne, polityczne i ideologiczne ZSRR ograniczają możliwe zmiany w Polsce. Każdy inżer definiował ową strefę, poza którą zaczynało się niebezpieczeństwo, ale każdy też był świadom jej istnienia.

2. Siła społeczeństwa polskiego, jego świadomość, tradycja, kultura nakazuje władzy, zarówno warszawskiej, jak i moskiewskiej, rezygnację z projektów sprowadzenia Polski do stanu społecznego rozbitcia innych krajów obozu. Każda władza, jeżeli chce uniknąć katastrofy, musi się liczyć z aspiracjami Polaków.

Powyższe stwierdzenia wyznaczają pole manewru i są źródłem swobodnej dyrektywy działania dla władzy i społeczeństwa: muszą się one samoograniczać w realizowaniu własnych celów, Polska nie może być ani wolna, ani komunistyczna.

3. W Polsce nastąpiło trwałe rozejście władzy i autorytetu. Władza - możliwość wymuszania określonych działań zbiorowych - i autorytet - zdolność skłaniania do pożądaných zachowań dzięki posiadaniu w społeczeństwie posłuchowi, stały się atrybutami różnych instytucji. Władzą dysponuje partia, autorytetem - Kościół i "Solidarność". Rozwód władzy i autorytetu jest odpowiednikiem rozvodu państwa i społeczeństwa.

Wraz z upływem szesnastu miesięcy "Solidarności" stawało się coraz bardziej oczywiste, że władza i autorytet mają znacznie większe możliwości blokowania przedsięwzięć, projektów drugiej strony niż realizowania własnych (władze nie były, na przykład, w stanie narzucić swej koncepcji reform gospodar - czych, a tym bardziej, niezbędnej, dramatycznej podwyżki cen; z kolei wizja Polski samorządnej musiała pozostać na papierze dopóty, dopóki podstawowe decyzje dotyczące państwa i społeczeństwa zapadały w KC).

W tej sytuacji wyjście z kryzysu politycznego, gospodarczego, społecznego mogło być wyłącznie wspólnym dziełem tych, którzy dysponowali władzą i tych, którzy cieszyli się autorytetem, czyli nastąpić w wyniku porozumienia państwa i "Solidarności", porozumienia pobógosławionego przez Kościół.

Dzisiaj wiemy, że zbyt optymistycznie oceniano tolerancję Związku Radzieckiego na zmiany, które miały miejsce w Polsce. Wiemy, że niedoceniała alternatywę dla pokojowego mariażu władzy i autorytetu była przemoc, którą władza wymusza pożądaną dla siebie zachowania. Wiemy, że nadmiernie beztrocka była wizja jedności narodowej, w której przytkraczającej większości społeczeństwa-obejmującej wojsko i dużą część milicji-miała przeciwstawić się garstka rządzących. Obecnie twierdzi się często nawet, że nie można było zapobiec nieszczęściu grudniowemu, Moskwa i Warszawa nigdy z "Solidarnością" pogodzić się nie mogły. Jak więc w takiej atmosferze możliwe jest kontynuowanie strategii porozumienia narodowego?

Podstawową tego przyczyną jest rozpowszechnione bardziej jeszcze niż przed Grudniem poczucie braku alternatywy: jeżeli nie kompromis to konfrontacja, z której społeczeństwo nie może wyjść zwycięsko. Zachowanie obu stron po pierwszych dramatycznych dniach grudniowych stwarzało na pozór pewne nadzieje na możliwość porozumienia.

Choć trudno liczyć na popularność tej tezy, trzeba przyznać, iż kontrrewolucja, która nastąpiła po samoograniczającej się rewolucji, również się samoogranicza. Przynajmniej jak dotychczas. Jeżeli chcemy wyobrazić sobie kontrrewolucję nie ograniczającą się, wystarczy przypomnieć doświadczenia Węgier po 1956 roku-tysiące zabitych, więzionych, wywiezionych na Sybir-czy Czechosłowacji po 1968 roku-likwidacja całej elity kulturalnej, intelektualnej, politycznej narodu. Dziesiątki tysięcy emigrantów w jednym i drugim wypadku. Nie ograniczająca się kontrrewolucja w Polsce oznaczałaby nie tylko wymazanie wszystkiego, co kojarzy się z triumfem lata 1980, ale również próbę zniszczenia żywej gleby, na której "Solidarność" mogła zakiełkować: potężnego Kościoła, niezależnego chłopstwa, wolnej kultury.

Świadomość braku alternatywy dla programu porozumienia narodowego była źródłem szczególnej strategii odbudowującej się w podziemiu "Solidarności". Organizacje konspiracyjne stawiają sobie zwykle za

cel obalenie zfenawidzonego ustroju, usunięcie dyktatora czy wypędzenie okupanta; nie stronią zazwyczaj od stosowania przemocy. Natomiast Solidarnościowy ruch oporu deklaruje paradoks to zaiste-że konspiruje przeciw władzy, aby tę władzę zmusić do porozumienia, że ani mu w głowie dążenie do obalenia ustroju, wypędzenia obcych wojsk, stosowanie czynnego oporu. Samoograniczająca się rewolucja przekształciła się w samoograniczający się ruch oporu.

Ograniczenia przyjęte przez kontrrewolucję i ruch oporu zakreślają pole konfliktu. Ale owo samoograniczenie nie ma trwałego charakteru, nie gwarantuje stabilności sytuacji: obie strony grożą wykroczeniem poza dotychczas respektowane granice.

Od 13 grudnia ograniczony charakter represji był argumentem używanym przez ekipę Jaruzelskiego w niezliczonych deklaracjach publicznych i zwierzeniach konfidencjonalnych w kraju i zagranicą. To co się stało - powiedziano - musiało się stać. Represje, zawieszenie swobód jest rzeczywiście rzeczą bolesną, ale każda inna ekipa rządząca, czy Moskwa - zaaplikowałaby lekarstwo znacznie bardziej gorzkie. Teraz chodzi o uratowanie tego, co jest do uratowania. Nie izolujcie władzy, nie stosujcie sankcji, bowiem skazacie Polskę na bardziej jeszcze braterski uścisk Moskwy. Nie strajkujcie, nie buntujcie się, nie manifestujcie, bowiem każda manifestacja niezależności i opozycji wzmacnia szanse tych, którzy pragną ostatecznego rozwiązania sprawy polskiej.

Innymi słowy, ostrzeżenie o niebezpieczeństwie przekształcenia samoograniczającej się kontrrewolucji w kontrrewolucję to u t c o u r t stancwio-ło od początku i stanowi nadal ważny argument w toczących się rozmowach z Episkopatem, intelektualistami, rządami zachodnimi, doradcami "Solidarności".

Z drugiej strony, groźba przejścia od samoograniczającego się ruchu oporu do ruchu totalnego jest również istotnym elementem permanentnej próby sił. Ostrzeżenie się zarówno przed akcją i podejmowanymi świadomie w odpowiedzi na działania, czy też brak działań władz, jak i przed spontanicznymi reakcjami społeczeństwa. Uprzedza się więc o gotowości przystąpienia do strajku powszechnego i równocześnie o niebezpieczeństwie niekontrolowanych wybuchów, do których zdolne będzie zdesperowane społeczeństwo, jeżeli junta nie poczyni odpowiednich ustępstw.

Argumenty używane przez obie strony - grożące rozszerzeniem pola konfliktu - są oczywiście normalnym

składnikiem każdej konfrontacji. Ale niebezpieczeństwa, na które się powołują, są bardziej niż realne i nie wolno nikomu ich ignorować. Istnieje groźba, że degradacja materialna społeczeństwa zacznie się gdzieś w ładunek wybuchowy z poczuciem upokorzenia, nienawiścią do tych, którzy odebrali prawa obywatelskie wywalczone na tak krótko. Realne jest też zapewne niebezpieczeństwo pojawienia się grup terrorystycznych zdesperowanej młodzieży nie widzącej dla siebie przyszłości w Polsce oficjalnej, ani w umiarkowanej Polsce podziemnej, która nie będzie zaspokajała jej potrzeb czynu, jeźliż oznacznymi wyborów. Ale prawdą jest również, że to, co wydaje się dzisiaj nie do wytrzymania, może być tylko wstępem do sytuacji jeszcze bardziej dramatycznej; że atak przeciw społeczeństwu może się przekształcić w otwartą wojnę przeciw narodowi, której celem będzie zaprowadzenie w Polsce spokoju cementarnego.

3. Szanse porozumienia

Czy świadomość braku alternatywy dla pokojowego współistnienia władzy komunistycznej i społeczeństwa jest warunkiem wystarczającym, aby uгода stała się rzeczywistym faktem? Na ile władza może być dzisiaj zainteresowana w szukaniu porozumienia ze społeczeństwem?

Nie raz podkreślano, że rządzenie przemocą jest na dłuższą metę ogromnie kosztowne i niezbyt bezpieczne. Jedyne ugodą, powiadano, może zapewnić jeżeli nie społeczne poparcie to przynajmniej przyzwolenie, pogodzenie się z rządami komunistów. Tylko wtedy myśleć można o stworzeniu ram instytucjonalnych, gwarantujących PZPR polityczną kontrolę nad krajem, respektowanie interesów sowieckich a równocześnie zapewniających w miarę bezkryzysowy rozwój kraju.

Na ile takie argumenty mogą być przekonujące w oczach rządzących? Myślę, że wielu z nich zdaje sobie sprawę, że na dłuższą metę ustroj sowiecki w kraju takim jak Polska jest nie do utrzymania. Wszędzie zresztą przeżywa on głęboki kryzys. Ale ta długofalowa perspektywa nie daje się łatwo przełożyć na dzisiejsze interesy i zachowanie władzy. Dzisiaj bowiem chodzi jej przede wszystkim o zapewnienie warunków bezpieczeństwa dla siebie, o pełną kontrolę nad sytuacją, zniszczenie wszelkich ośrodków niezależnej inicjatywy politycznej i społecznej - je

słowem o pacyfikację kraju. I żadne apele przedsta-
wicieli niezależnej opinii, czy nawet partyjnych "li-
beraldów", nie mogą zwyciężyć godnej ubolewania, ale
racjonalnej zarazem z punktu widzenia interesów
rządzących, krótkowzroczności.

Nawet dramatycznie formułowane ostrzeżenia, iż
nienawiść i rozpacz społeczeństwa mogą stać się si-
łą destrukcyjną o ogromnej mocy, posiadają w oczach
rządzących wartość ograniczoną. Bowiem odpowiedzieć
można nań dwojako. Po pierwsze - co dowiódł już Tocce-
ville - rząd autorytarny tworzy najbardziej niebez-
pieczną dla siebie sytuację wtedy, gdy próbuje roz-
luźnić kontrolę, zreformować się. Nagromadzone poczu-
cie krzywdy, oczekiwanie zmian, których nie można za-
spokoić, umiarkowane ustępstwa - wszystko to tworzy
potężny ładunek wybuchowy. Po drugie - doświadczenia
Grudnia i poprzednie pokazują, że silna i zdecydowa-
na na wszystko władza jest zawsze w stanie zlokali-
zować eksplozję, a więc również ograniczyć, jeżeli
nie ilość ofiar, to przynajmniej zagrożenie dla sys-
temu rządów.

Jaką wartość mają tezy tych, którzy w ugodzie spo-
łecznej widzą jedyny środek pozwalający na przewy-
cięzenie obecnego kryzysu?

Powiada się często, że stan wojenny przyczynił
się do pogorszenia sytuacji gospodarczej Polski. Sa-
nkcje zastosowane przez Zachód po 13 grudnia, pozba-
wiły gospodarkę poważnych środków finansowych pro-
wadząc do drastycznego ograniczenia importu, co z
kolei odbiło się na rozmiarach produkcji i wpłynę-
ło na dalsze obniżenie zdolności eksportowych. Dowo-
dzi się ponadto, że stan wojenny stał się bezpośred-
nio czy pośrednio źródłem osłabienia woli ludzi do
pracy. Albo dlatego, że stosują oni zasadę: "ślimaka"
- biernego oporu poprzez ograniczanie wydajności - al-
bo dlatego, że przemoc zniechęca ludzi do pracy, od-
biera jej sens, radość tworzenia.

Z perspektywy władz oceny te wcale nie są bezdys-
kusyjne i w niewielkim tylko stopniu świadczą na
rzecz kompromisu. Czy rzeczywiście można by liczyć
na masową pomoc Zachodu, jeżeli podjęto by próbę
znalezienia porozumienia ze społeczeństwem. Bardzo
to wątpliwe. Już przed Grudniem, kiedy Polska ropacz-
liwie potrzebowała zachodniej pomocy i kiedy zdawa-
ło się - Zachód powinien być szczególnie zaintere-
sowany w zmniejszeniu napięć powstających w Pols-
ce na tle sytuacji gospodarczej - żadnej istotnej po-
mocy nie doczekaliśmy się. Odgrywało tu rolę wiele

czynników: ogromne, trudne do zaspokojenia potrzeby Polski, brak koherentnego planu wyjścia z kryzysu, trudności budżetowe rządów zachodnich, konkurencja na rynkach finansowych innych państw i krótkowzroczność, jeżeli wręcz nie brak dobrej woli, że strony państw zachodnich (o ambiwalencji polityki Zachodu pisał w poprzednim numerze "Aneksu" Pierre Hasner, w tym zaś Timothy Garton Ash). Paradoksalnie, dzisiaj atmosfera dla Polski jest bardziej sprzyjająca. Jeżeliby nastąpił powrót do sytuacji sprzed 13 grudnia, można by mieć nadzieję na masową, bezprecedensową mobilizację Zachodu dla ratowania polskiej gospodarki. Jeżeli mieliibyśmy do czynienia jednak z częściowymi tylko ustępstwami, trudno byłoby oczekiwać zbyt wiele. Na pewno, doszłoby do odłożenia terminów płatności długu, ale to się uda być może i Jaruzelskiemu, prawdopodobnie można by uzyskać nowe pożyczki, ale daleko nie na miarę polskich problemów.

W publicystyce krajowej, zarówno oficjalnej jak i niezależnej, wyolbrzymia się często, choć dla różnych powodów, rozmiary, wagę i polityczne znaczenie sankcji prezydenta Reagana przeciw Moskwie i Warszawie. Mniejsza o to, że sankcje te mają w dużym stopniu charakter symboliczny i nie obejmują jedynej skutecznej broni ekonomicznej, którą Stany Zjednoczone dysponują, to znaczy embarga zbożowego. Ważniejszy jest fakt, że Polska stanowi tylko jedną z kart w próbie globalnego renegotjowania układu sił między Waszyngtonem a Moskwą, podejmowanej przez obecną administrację amerykańską. Jutro może się więc okazać, że prezydent znosi sankcje uznając postęp na drodze liberalizacji osiągnięty przez generała Jaruzelskiego za zadowalający.

Poważnie przecenia się również możliwości poprawienia sytuacji gospodarczej Polski w wyniku osiągnięcia ugody narodowej. Jaki procent spadku dochodu narodowego należy przypisać strategii "ślimaka"? Sądzę, że nikły, z czego nie wynika oczywiście, że robotnicy popierają Jaruzelskiego. Po prostu dezorganizacja gospodarki, pogłębiona kaprałskimi metodami zarządzania komisarzy wojskowych, braki surowców, materiałów i części zamiennych, rozkład transportu wystarcza, dla wyjaśnienia spadku produkcji. Tam, gdzie związki z zagranicą są słabsze, kontrola łatwiejsza, prostsza organizacja - jak w przemyśle surowcowym - stan wojenny pozwolił, osiągnąć efekty, którymi władze się chwala.

Na pewno wola, mobilizacja całego narodu, mogłaby istotnie wpłynąć na sytuację gospodarczą. Ale czy kompromis ze zleniawioną władzą może być źródłem entuzjazmu?

Oficjalna retoryka, która, bardziej jeszcze intensywnie niż przed Grudniem, głosi hasło porozumienia narodowego zdaje się przeczyć twierdzeniu o braku zainteresowania władz ideą ugody. Odpowiedź najprostszą każe widzieć w propagandzie jeden z istotnych narzędzi normalizowania kraju. Utrzymując jak najdłuższą niepewność co do swych intencji, pozostawiając na pozór otwarte szanse na przyszłość, władza odbierać chce narodowi krok po kroku nadzieję, siłę i wolę oporu. Manifestowana oficjalnie wola zawarcia pokoju ze społeczeństwem jest warunkiem koniecznym powodzenia tej operacji. Każdy akt konfiskaty odrobiny wolności wymaga tym bardziej gorliwych deklaracji na rzecz porozumienia i ugody.

Byłbym jednak skłonny sądzić, że gdy władze mówiły po Grudniu o konieczności porozumienia narodowego, nie było to tylko cyniczną manipulacją. Wydaje się - jest to hipoteza, przyznając, dość ryzykowna - że władze traktowały zamach jako swoisty kolejny etap "negocjacji" ze społeczeństwem i że ich plany w momencie zawieszenia "Solidarności" nie były do końca jasne. Precyzowały się wraz z upływem czasu, bardziej wyraźnym zarysowywaniem się układu sił. Ewolucję tę można było dostrzec w polu czy świerc oficjalnych negocjacji toczonych na temat warunków reaktywowania "Solidarności".

Wydaje się, że szereg czynników wpływał na stopniowe porzucanie przez władzę idei jakiegokolwiek kompromisu. Względne powodzenie operacji grudniowej, a później podwyżki cen, musiało wzmocnić wiarę w środki represyjne. Również zmiany zachodzące w obozie rządzącym już przed Grudniem, ale szczególnie po zamachu, sprzyjały tej tendencji. W przyspieszonym tempie partię porzucali ludzie, którzy wiązali pewne nadzieje z porozumieniem. . . . Wzmacnia się więc coraz bardziej klan tych, którzy wierzą, że czołg sprawnie rozwiązuje problemy niż negocjacje.

Zmiana tonu w prasie oficjalnej i w oficjalnych deklaracjach jest wyraźna. Pojęcie porozumienia narodowego oznacza coraz częściej konieczność pogodzenia się społeczeństwa z faktami dokonanymi. Jako strony porozumienia występują tradycyjni aktorzy oficjalnej sceny politycznej: PZPR, ZSL, SD, grupy katolickie współpracujące z władzą. Społeczeństwo z tej

sceny znika. Coraz też częściej hasło porozumienia ustępuje miejsca hasłu odrodzenia narodowego, które jest mniej dla władz krepujące, bowiem nie zakłada pluralizmu, istnienia dwóch wzajemnie uznających swoje prawa stron.

Przyjmijmy jednak na chwilę, że władze gotowe byłyby zawrzeć ugodę ze społeczeństwem. Jakie mogłyby być jej warunki? Można, myślę, przyjąć hipotezę, że nie pogodzą się one z "Solidarnością" jako totalną w pewnym sensie organizacją społeczeństwa. "Solidarność" była bowiem związkiem zawodowym, ale również ruchem narodowego odrodzenia i wyzwolenia, ruchem politycznej emancypacji i rewindykacji demokratycznych... Związek obejmował prawie wszystkie środowiska społeczne, był zaprzeczeniem organizacji klasowej czy korporacyjnej, stanowił organizację narodu, społeczeństwa, pracujących.

Wydaje się - nie jest to pogląd oryginalny - że władze mogłyby dopuścić istnienie "Solidarności" - nazwijmy ją "Solidarnością II" - jedynie jako związku zawodowego w ścisłym tego słowa znaczeniu. Zadaniem związku byłoby wyłącznie dbanie o sytuację materialną swoich członków, ich warunki pracy itp.

Przejście od dzisiejszej "Solidarności" do "Solidarności II" musiałoby oznaczać rozbitcie struktury regionalnej, pożegnanie się z całą elitą związkową uformowaną w okresie rewolucyjnym, symbolizująca ówczesne radykalne aspiracje. Władze mogłyby tolerować jedynie związek pozbawiony owej mistycznej siły, która kazała ludziom inwestować ich nadzisiejsze, uczucia, myśli, gotowość poświęcenia.

Czy o "Solidarność II" warto walczyć? Odpowiedź nie jest prosta. Wystarczy uświadomić sobie jak wielkim postępem byłoby wywalczenie związku o podobnym charakterze jeszcze dwa lata temu. Ólatego reakcje na podobne koncepcje w kręgach związkowych nie są, wydaje się, jednoznaczne. Spróbujmy odpowiedzieć na to pytanie pośrednio, rozważając na ile "Solidarność II" - najbardziej wielkoduszna, najdalej idąca na kompromis ze społeczeństwem oferta władzy - ma cechy realizmu. Czy związek taki w ogóle może istnieć? Odpowiedź musi być, jak sądzę, negatywna. "Solidarność" może być tylko czymś więcej niż związkiem zawodowym, albo nie być w ogóle.

Wyobraźmy sobie bowiem, iż okrojona, kaleka, ale w tym kalectwie jakoś autentyczna "Solidarność" jest przywrócona do legalnego życia. Wyzbywa się ona nie tylko swoich dotychczasowych funkcji - na rzecz in-

nych legalnych czy nielegalnych organizacji-ale również poważnej części członków. Pomimo utraty aury, związek, tak długo jak długo pozostanie niezależny i samorządny, choćby w ogromnie uszczuplonym zakresie, cieszyć się będzie zapewne szerokim poparciem społecznym. By je jednak zachować zmuszony będzie wykazywać swoją użyteczność i skuteczność w jedynej dozwolonej mu dziedzinie-to znaczy w sferze materialnych rewindykacji. Innymi słowy "Solidarność II" musiałaby, bardziej jeszcze niż jej poprzedniczka-która mogła szukać gdzie indziej rekompensaty dla nie dających się zaspokoić aspiracji materialnych swoich członków-walczyć o płace, przeciwko podwyżkom norm, o wolne soboty i przeciwko wymuszaniu godzin nadliczbowych, o ludzkie warunki pracy i przeciwko niszczącemu zdrowie wyszkowiu; musiałaby potwierdzać racje swojego istnienia i wiarygodność walką o chleb. Paradoksalnie, dopiero właśnie "Solidarność II" stać by się mogła związkiem klasowym, czysto robotniczym, nawet jeżeli jego filozofia pozostawałaby pod bardzo silnym wpływem chrześcijaństwa.

W obecnej sytuacji gospodarczej Polski i przez wiele jeszcze lat, istnienie takiego związku jest nie do pomyślenia. W dzisiejszej "pustej" gospodarce związek nie mógłby wiele dla swoich członków wywalczyć. Gdyby rzeczywiście miał działać zgodnie ze swoim powołaniem, to pogłębiałby jeszcze bardziej kryzys gospodarczy, uniemożliwiał jakkolwiek stabilizację, niweczył szanse rozwoju. Gdyby zaś akceptował nieuchronne w takich warunkach ograniczenia ze strony władz i bardziej niż prawdopodobne próby narzucenia mu współodpowiedzialności za "zarządzanie kryzysem", to skazywałby się nieuchronnie na utratę zaufania społecznego.

Z powyższego rozumowania wynika paradoksalny na pozór wniosek. Model "Solidarności II" zdaje się kusić obie strony. Wielu związkowców widzi w nim możliwość uratowania tego, co najważniejsze: własnej organizacji, jej niezależności. Władze widzą w nim symbol złamanej dynamiki rewolucyjnej i alibi dla zamachu grudniowego, partnera, którego łatwo będzie kontrolować, aby nie stwarzał poważnych problemów, ponieważ będzie organizacją o odciętej głowie i skróconych kończynach. Pomimo pozornej atrakcyjności takiego rozwiązania, osiągnięcie kompromisu dzięki "Solidarności II" wydaje się bardzo mało prawdopodobne. Bowiem obie strony wiążą z nim przeciwne oczekiwania i spełnienie jednych może dokonać się tylko ko-

sztem drugich. Związek nie może pozostać niezależny i samodzielny w sytuacji obecnego kryzysu gospodarczego, nie mogąc zapewnić społeczeństwu koncesji politycznych, zaś władze nie mogą liczyć na współpracę związku, nawet okrojonego, jeżeli ma on pozostać NSZZ.

Idea stworzenia organizacji pracowniczej o zarysowanym modelu "Solidarności II" nie będzie prawdopodobnie przez władze zupełnie zarzucona, ale jego realizacja zostanie odsunięta w nieokreśloną przyszłość.

4. Mit strajku generalnego

Idea strajku generalnego zaczęła zyskiwać na popularności wraz z odbudowywaniem się Związku w podziemiu i osłabieniem szoku grudniowego. Na pozór jest ona sprzeczna z dążeniem do porozumienia narodowego. Jest bowiem bliska krewna idei powstańczej (w okresie kryzysu bydgoskiego jeden z głównych doradców Lecha Wałęsy mówił o strajku generalnym jako o strajku insurekcyjnym), tyle że zamiast przemocą fizyczną-sprzeczną z filozofią Związku i pozbawioną z góry jakichkolwiek perspektyw-proponuje powalić władzę na kolana przemocą ekonomiczną. W istocie jednak idea strajkowa stanowi pewną wersję koncepcji ugody. Opiera się ona na przekonaniu, że na dobrą wolę władz liczyć nie można i że reaktywowanie Związku i przywrócenie skonfiskowanych swobód nastąpić może tylko w wyniku nacisku; władza ustąpi jedynie z pistoletem przystawionym do skroni. Ów pistolet strajku powszechnego służyć ma jednak wymuszeniu ugody.

Próba oceny, na ile strajk generalny jest bronią dającą się użyć, i to skutecznie, skłania do szukania odpowiedzi na dwa różne pytania. Jedno dotyczy szans jego zorganizowania. Drugie zaś możliwości wymuszenia na władzy podjęcia negocjacji ze społeczeństwem.

Odpowiedź na pierwsze z tych pytań wymaga przemyślenia doświadczeń Grudnia. Do dzisiaj nie wiemy, na ile rozległy był ruch strajkowy. Informacje są fragmentaryczne i trudno na ich podstawie zbudować obraz całości. Wiemy tylko, że nie miał on rozmiarów, intensywności i determinacji, których można było się spodziewać po doświadczeniach poprzedzających go szesnastu miesięcy. Dlaczego? Spróbujmy wymienić kilka elementów, które się do tego przyczyniły.

W ciągu ostatnich miesięcy przed Grudniem zachodziły istotne zmiany w nastrojach społeczeństwa. Upraszczając, można je przedstawić tak oto: mniej więcej od sierpnia 1981r. władze w sposób konsekwentny blokowały rozwiązywanie problemów, przed którymi stał kraj, wymagających aktywnej współpracy "Solidarności". Rozumowanie władz było, jak się wydaje, następujące: "nie możemy narzucić krajowi naszego sposobu wychodzenia z kryzysu. Jesteśmy jednak wystarczająco silni by pokazać, że "Solidarność" też nie jest w stanie nic uczynić bez nas i przeciw nam". Polityka ta miała podwójny efekt. Z jednej strony prowadziła do radykalizacji grup w Związku najbardziej aktywnych; napotykając wszędzie na mur władzy, w sposób naturalny zwracały się przeciwko niej. Z drugiej, przyczyniała się do wzrostu apatii w szerszych kręgach społeczeństwa torturowanego codziennymi problemami egzystencji. Trudno było spodziewać się po "Solidarności" rozwiązania tych problemów, a równocześnie występująca radykalizacja polityczna pozbawiona była wiarygodności, którą zapewnić by mogła wyłącznie nieobecna perspektywa zmian ustrojowych. Władzom udało się więc w dużym stopniu pozbawić "Solidarność" ogromnego kapitału - kapitału nadziei jaką społeczeństwo w niej lokowało.

Oczywiście nie znaczy to, że Związek utracił społeczne poparcie. Należy jednak odróżnić masowość poparcia od jego intensywności. Demokracja, wybory, nie wymagają silnego zaangażowania wyborców. Przeciwnie, istnieją teorie polityczne, które w nadmiernym aktywizmie obywateli widzą źródło niestabilności systemów demokratycznych. Jednakże w próbach takich jak grudniowa mniejsze ma znaczenie i ilość zwolenników niż ich determinacja. Atmosfera 13 grudnia i dni następujących, czuła na ulicach, bandy zomowców, zabici - wszystko to bardzo podnosiło cenę zaangażowania. Ludzie gotowi są płacić taką cenę w dwóch skrajnych sytuacjach; wtedy, gdy pełni są nadziei i wierzą, że poniesiona ofiara, nawet najwyższa, nie pójdzie na marne, lub wtedy, gdy zdesperowani, w pierwszym odruchu rozpaczy, nie ważąc kosztów i efektów, gotowi są rzucić się na wroga. W Grudniu nie było ani wystarczająco dużo nadziei, ani też rozpaczy. Z wyjątkiem kilku kopalń.

Jeżeli za parę miesięcy, za rok zapadnie decyzja o strajku generalnym, na co jest inicjatorzy będą liczyć? Na nadzieję? Nadzieję na co? Na rozpaczy? Czy na rozpaczy można budować akcje zbiorowe, przemysła?

ne, skoordynowane?

Przyjmijmy jednak na chwilę, że strajk powszechny ma miejsce i trwa, że rzeczywiście objął największe zakłady pracy, że system komunikacji stworzony przez nielegalną "Solidarność" był w stanie zneutralizować grudniową taktykę władz. Jak długo taki strajk trwać może i powinien? Często spotkać się można z przekonaniem, że strajk zmusi przeciwników do podjęcia negocjacji. A jeżeli nie, jeżeli pozwolą na trwanie strajku? W skali jednego przedsiębiorstwa czy gałęzi sytuacja jest dobrze znana na Zachodzie. Przedsiębiorcy odmawiają negocjacji licząc na załamanie się strajku. Dlaczego państwo komunistyczne nie miałyby zrobić podobnie?

Co więc działoby się, gdyby strajk trwał pozostawiając coraz mniej nadziei, bo jego celem przecież przypomnijmy, miałyby być zmuszenie władzy do negocjowania ze społeczeństwem warunków trwałego pokoju wewnętrznego. Otóż efekty takiego strajku mogłyby być dramatyczne nawet przy mało prawdopodobnej hipotezie, że ma on pokojowy, niezakłócony przez władze przebieg. Wtedy dopiero mogłaby się pojawić psychoza popowstaniowa; poczucie klęski, rozpacz, beznadziei ogarnąć by mogło szerokie kręgi społeczeństwa. Cóż bowiem pozostaje po wystrzeleniu ostatniego naboju?

5. Ani ugoda ani powstanie

Tytuł niniejszego artykułu—między ugodą a powstaniem—zakreśla granice, między którymi oscyluje niezależna refleksja polityczna w Polsce o przyszłości i o tym, co czynić należy. Staraliśmy się pokazać, że obie skrajne koncepcje pozbawione są realizmu i, dla różnych powodów, niebezpieczne.

Polska myśl polityczna powinna wyzwolić się z ograniczeń, które nakłada mit godziny "0"—kiedy to, jak przed dwoma laty, zasiada przy wspólnym stole przedstawiciele wrogich sobie stron. Winna też porzucić złudzenia godziny "X"—powstańczego czy strajkowego zrywu (a nie jest pewne, czy w praktyce byłaby między nimi różnica), którym wymusi na władzach poszanowanie swoich praw. Jedyne radykalne wyjście z "sytuacji bez wyjścia" jakie można sobie wyobrazić, byłoby dla narodu tragiczne, mogłoby się bowiem dokonać wyłącznie poprzez złamanie przemocą jego oporu.

Pierwszym dzisiaj obowiązkiem ludzi odpowiedzial-

nych za Polskę z racji swego autorytetu jest nazywanie rzeczy po imieniu, niedopuszczanie do konfuzji, z której korzystać mogą tylko komuniści. Tej klauzuli nie służyć na przykład podany przez prasę oficjalna komunikat Komisji Wspólnej Rządu i Episkopatu po posiedzeniu z 8 czerwca 1982r., gdzie czytamy między innymi: "Potwierdzając swe stałe stanowisko co do potrzeby ugody społecznej i porozumienia narodowego, komisja wspólna wskazała, że niezbędnym ich warunkiem jest nie tylko rozwiązanie problemów politycznych, lecz również gospodarczych." Niefortunne słowa zdają się sugerować, iż między Kościołem a władzami nie ma różnicy stanowisk w sprawach ugody i warunków, od których zależy jej osiągnięcie. Na szczęście Episkopat i Prymas wystarczająco często wypowiadali się na ten temat, by wiedzieć, iż interpretacja taka jest fałszywa.

Cała jednak seria pytań ciśnie się na usta: czy ludzie o najwyższym w kraju autorytecie mają dane ku temu, by wierzyć, że porozumienie z władzą jest obecnie możliwe? Jeżeli tak, to na jakich warunkach? Czy tych, które zostały sformułowane przez Prymasowską Radę Społeczną? Jeżeli zaś uważają, że szans na porozumienie obecnie nie ma to czy nie jest ich podstawowym obowiązkiem szczerze powiedzenie o tym społeczeństwu?

Utrzymywanie złudzeń nie służy zażegnaniu niebezpieczeństwa wojny bratobójczej; słowa o ugodzie wywierają się, zaczynają brzmieć pusto narażając na pomniejszenie autorytet tych, których rola jest szczególnie ważna w obecnych czasach próby.

Między ugodą a powstaniem - dzisiejsza odpowiedź na klasyczne polskie pytanie musi brzmieć: ani powstanie, ani uroda. Nie ma co liczyć na pokój, bowiem władza oczekuje nie zgody na kompromis, lecz bezwarunkowego aktu poddania. Nie wolno też liczyć na odtwartą wojnę, której wygrać nie można.

Pragnienie wolności, sztuka oporu zdobyta przez naród w czasach niewoli, mądrość autentycznych przywódców pozwalały po wojnie przecierać różne szlaki prowadzące ku większej autonomii jednostki i społeczeństwa. Wynikiem społecznego nacisku było ograniczenie pola kontrolowanego przez państwo komunistyczne; powstawały coraz liczniejsze wyspy wolności. Osłabienie przemocy naród wykorzystywał zawsze dla przypominania swych praw do decydowania c własnym losie. Polacy dążyli do wydziedziczenia partii uspołeczniając, w wyniku działań zbiorowych, życie pub-

licznie: tworzyli w tym celu związki, ruchy, organizacje, nadawali prawdziwe życie strukturom oficjalnie istniejącym, domagali się dopuszczenia samorządów pracowniczych i terytorialnych. Gdy zaś możliwości uspołecznienia poprzez opór zbiorowy malały, dążyli oni do wydziedziczenia partii, poszerzenia granic wolności w drodze reprivatyzacji fragmentów życia społecznego, przejmowania indywidualnej odpowiedzialności i kontroli nad własnym życiem.

Nie twierdzą, że drogi te są równorzędne, na pewno nie każda równie skutecznie służy zwalczaniu obcego ustroju. Nie ma dzisiaj jednak królewskiego traktu od sowietyzmu ku Polsce wolnej i demokratycznej. Przybliżanie się ku niej może być wyłącznie skutkiem upartego podążania wszystkimi możliwymi drogami.

Naród Polski znalazł się obecnie w jednym z najbardziej krytycznych momentów swojej historii. Po nadziejach na dobrobyt lat siedemdziesiątych kraj stoczył się do poziomu ubóstwa niezrozumiałego dla większości ludzi. Jawna, cyniczna przemoc zamknęła niezwykły w ustroju komunistycznym okres wolności. Jest to podwójny, ogromnie bolesny upadek. Od Kościoła i przywódców społecznych, od stworzenia prawdziwego społeczeństwa podziemnego, które będzie w stanie zaspokajać wielorakie potrzeby Polaków i stwarzać codziennie prowadzoną walką perspektywę odzyskania utraconych swobód, zależy w dużej mierze, czy Grudzień okaże się przegraną bitwą czy klęską zapowiadającą drugą noc.

sierpień 1982

Aleksander Smolar

W BIBLIOTECE TYGODNIKA WOJENNEGO ukazały się:

Zbigniew Romaszewski?Sierpień 80,Grudzień 81,Co
dalej? cena 30 zł

Zdenek Mlynař,Konsekwencje i Perspektywy"normali-
zacji" w Polsce" cena 40 zł

Odmowa,nr 1 cena 40 zł

Wiktor Woroszylski,Dziennik Internowania
cena 30 zł

Józef Kuśmierk,Stan Polski cena 400 zł

BIBLIOTEKA TYGODNIKA WOJENNEGO

CENA 40 ZŁ